

## KULTURA Łącząca narody

Jeśli mówimy o tradycjach wymiany kulturalnej z naszymi najbliższymi sąsiadami, narodami Rosji, Ukrainy i Białorusi — a mamy w tej dziedzinie bogate i chlubne tradycje — to należy sobie uświadomić, że powszechność kultury w dzisiejszej Polsce i w Związku Radzieckim nadaje obecnej wymianie kulturalnej rozmach i skalę, której nie da się porównać z żadną inną epoką, tak jak nie da się porównać z żadną inną epoką zdobyczy, które dał nam nasz nowy ustrój.

Szczególnie w dwóch dziedzinach polskiego życia kulturalnego, zainteresowanie twórczością artystyczną Związku Radzieckiego przybrało formy najbardziej powszechne: w dziedzinie literatury i pieśni masowej.

Zainteresowanie radziecką pieśnią ma piękne tradycje w Polsce Ludowej, wyrasta ono z dni wspólnych walk przeciw hitlerowskiemu okupantom, ze wspólnych partyzanckich postojów, z pamiętnych dni wyzwolenia, gdy ludność Polski witała niosące wolność naszej Ojczyźnie oddziały wojsk radzieckich.

Nowe życie, które wyzwoliło w narodzie tyle twórczych sił, tyle radości i wiary w lepszą przyszłość, kształtowaną własnymi rękami, stawało przed twórcami zapotrzebowanie na pieśń masową.

Nie od razu potrafili twórcy polscy zapotrzebowaniu temu sprostać. Pieśnią masową stała się więc piosenka radziecka. Upowszechniały ją coraz bardziej radio i prasa, upowszechniały ją goszczące w Polsce radzieckie zespoły pieśni i tańca, wydawnictwa polskie zaczęły publikować zbiory radzieckich pieśni masowych i ludowych. Na tełnieniu pięknem pieśni radzieckich, zaczęli tworzyć polscy poeci i kompozytorzy. W roku 1950 na Festiwalu Muzyki Polskiej zabrzmiły pierwsze polskie pieśni masowe. Rozwinał się — oparty o doświadczenia radzieckie — amatorski ruch zespołów pieśni i tańca. Powstał Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”, który szeroko rozstawił piękno polskiej pieśni ludowej i polskiego tańca ludowego za granicami naszego kraju.

Dziś przyjemnie jest stwierdzić, że pieśni „Mazowsza” i niektóre polskie pieśni masowe (jak na przykład jedna z pierwszych „Na prawo most — na lewo most”) znane są i śpiewane w Związku Radzieckim, a w zamieszczonych niedawno w radzieckim czasopiśmie „Ogoniok” recenzji omawiającej osiągnięcia Państwowego Białoruskiego Zespołu Pieśni i Tańca mówi się, że jest on „jak polskie „Mazowsze”.

W ślad za zainteresowaniem pieśnią masową coraz szersze kręgi zatacza w Związku Radzieckim i w Polsce wzajemne zainteresowanie muzyką poważną. W polskich operach i filharmoniach wykonywane są stale utwory klasyków muzyki rosyjskiej i współczesnych kompozytorów radzieckich. Znamy jest polskiej publiczności muzycznej Rimski-Korsakow i Mussorgski, Szostakowicz i Prokofiew, Asafiew i Glier. W Związku Radzieckim coraz szersze rzesze wielbicieli znajduje muzyka Chopina, Wieniawskiego, Moniuszki i Karłowicza. Konkurs Skrzypcowy im. Wieniawskiego i pianistyczne konkursy chopinowskie przyczyniły się do poważnego zacieśnienia współpracy i wymiany kulturalnej w dziedzinie muzyki.

Literatura radziecka, podobnie jak i radziecka piosenka, wkroczyła w życie kulturalne Polski Ludowej niemal że od pierwszych chwil jej istnienia. Była ona dla pisarzy polskich pierwszym wzorem sztuki realizmu socjalistycznego, była dla czytelnika polskiego obrazem nowego życia, tego, które istnieje w Związku Radzieckim i tego, które zaczęło się rozwijać w Polsce Ludowej.

Trudno tu oczywiście wymienić długą listę tytułów i autorów radzieckich, którzy dotarli do czytelnika polskiego w polskim przekładzie. Warto jednak przytoczyć kilka liczb ilustrujących ruch wydawniczy literatury radzieckiej w naszym kraju: w ciągu ubiegłego dziesięciolecia wydano w Polsce 5744 tytuły dzieł radzieckich — tłumaczonych na język polski o łącznym nakładzie 99 milionów 500 tysięcy egzemplarzy. W roku ubiegłym prasa drukarska opuszczyła 874 tytuły tłumaczeń radzieckiej literatury w ilości 16 milionów 526 tysięcy egzemplarzy. Również bogato przedstawia się plan na rok bieżący. Dotychczas zaplanowano już 710 tytułów tłumaczeń radzieckich o łącznym nakładzie 10 492 tysiące egzemplarzy.

O popularności, jaką wśród polskich czytelników zdobyła sobie książka radziecka, świadczyć może przykład jednego tylko, bardzo wąskiego odcinka naszego życia kulturalnego — IV etap Konkursu Czytelników Wiejskich. Ogłosił go w roku ubiegłym Centralny Zarząd Bibliotek i Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej. Do IV etapu konkursu zgłosiło się 612 687 osób. Ogromna większość wypowiedzi dotyczy właśnie książek autorów radzieckich. Wystarczy tu przytoczyć, że wśród wielu najpoczytniejszych autorów już trzecie miejsce po Prusie i Orzeszkowej zajmuje Polewoj, „Opowieści o prawdziwym człowieku”, czwarte — „Matka” Gorkiego, siódme — „Młoda Gwardia” Fadiejewa i ósme — „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego. Wielu czytelników zgłosiło się do konkursu również z powieściami Szolochowa, Katajewa, Azajewa, Nikolajewej i innych.

Z radością możemy stwierdzić, że w tym samym czasie, gdy literatura radziecka zdobywała sobie polskiego czytelnika, w coraz szerszym zakresie docierała do czytelnika radzieckiego literatura polska. Szczególnie rok 1952 i lata następne przyniosły szeroką popularyzację dorobku narodowego literatury polskiej wśród społeczeństwa radzieckiego. Czytelnik radziecki poznaje arcydzieła literatury polskiej, utwory naszych klasyków: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej, Orkana, Żeromskiego i innych. Czytelnik radziecki poznaje również utwory szeregu współczesnych autorów polskich. Dwutomowe „Wypisy z literatury polskiej XIX i XX wieku” dały czytelnikowi radzieckiemu syntetyczny obraz dorobku literatury polskiej od romantyków aż po dni dzisiejsze.

Po muzyce i literaturze warto również poświęcić choć trochę uwagi polsko-radzieckiej wymianie kulturalnej w dziedzinie teatru i filmu. Gościnne występy teatrów radzieckich w Polsce i Teatru Polskiego w Związku Radzieckim przyczyniły się do wzajemnego spopularyzowania dorobku naszych kultur narodowych w zakresie sztuki

(Ciąg dalszy na str. 3)

## Związek Radziecki Polsce

W Moskiewskiej Fabryce Metrobudowy — część fontanny, która ozdobi warszawski Pałac Kultury i Nauki.

Fot. — CAF



To warto wiedzieć o poecie!

## Jak Majakowski napisał pierwszy wiersz? i skąd się wziął „Obłok w spodniach”

„...Nauka. Uczyła mama i dalsze i bliższe krewniaczki. Arytmetyka wydawała się nieprawdopodobną. Trzeba obliczać rozdawane chłopcom jabłka i gruszki. Dawali mi przecież zawsze i ja zawsze dawałam bez rachowania. Na Kaukazie owoców w bród. Czytać nauczyłam się z przyjemnością. ...Pierwsza książka. Jakaś tam „Ptaszniczka Agafia”. Gdyby wpadło mi wówczas w ręce kilka takich książek — rzuciłbym w ogóle czytanie. Na szczęście, druga — „Don Kichot”. To jest książka! Zrobiłem drewniany miecz i pancerz, gromiłem otoczenie...” — tak pisał Majakowski w „Autobiografii” o swych latach dziecięcych, spędzonych w rodzinnej gruzińskiej wsi Bagdady.

Wiosną 1905 roku „...przyjechała z Moskwy siostra. Rozradowana. W tajemnicy dala mi długie papierki. Podobno się: bardzo ryzykowne... Była to rewolucja. Było to wierszem. Wiersze i rewolucja złączyły się jakoś w mojej głowie nierozdzielnie z sobą”. („Autobiografia”).

Późnym jesiennym wieczorem 1912 r. szedł Majakowski razem z Dawidem Burliukiem, przyjacielem z Akademii malarstwa, pustą moskiewską ulicą.

„Majakowski — wspomina Burliuk — recytował mi wiersz.

— Czyj to? Twój? Przyznał się nie od razu... Był to jego pierwszy wiersz. „Już z rana, Burliuk przedstawiając mnie komuś, grzmiał: „Nie znacie? Mój genialny przyjaciel. Znakiem poety Majakowski”. Szturchem go. Ale Burliuk jest nieugięty. Jeszcze wrzeszczał na mnie: „Teraz piszcie. Bo stawicie mnie w bardzo głupim położeniu”. („Autobiografia”).

Majakowski zaczął pisać. Powstał pierwszy „zawodowy, wydrukowany” — jak o nim mówi — wiersz: „Szkaradny i biały”. A o Dawidzie pisał: „Wspaniały przyjaciel. Mój rzeczywisty nauczyciel. Burliuk zrobił mnie poetą. Czytał mi Francuzów i Niemców. Podsuwał książki... Co dzień wydawał 50 kopiejek. Żeby pisać, nie głodując”. („Autobiografia”).

W Petersburgu, 11 lutego 1915 roku wystąpił Majakowski w artystycznym kabarecie z recytacją wiersza „Wam!” — ostrego pamfletu, skierowanego przeciwko burżuazji, zbijającej majątki na wojennych spekulacjach. „Uderz w stół...” — mówił stare przysłowie. Publiczność zebrana w lokalu przyjęła wiersz jako przytyk do siebie. Wybuchł skandal.

„Publiczność... zastygła w zdumieniu: ktoś z podniesionym kieliszkiem, ktoś z kawałkiem niedojedzonego kurczaka na widelcu. Rozległo się kilka nieartykułowanych okrzyków, lecz Majakowski recytował głośno dalej. Gdy wyzywająco wykrzyknął ostat-

nie wiersze... niektóre kobiety zaskrzeczały: „aj!”, „och!” i uduły, że mdleją. Rozwścieczeni mężczyźni zaczęli wrzeszczeć wszyscy razem. Powstał hałas, rozległy się gwizdy, pogroźki.

Majakowski stał na estradzie, był bardzo blady... Niezwykle wytwornie i elegancko ubrana kobieta, siedząca na wysokim krześle, krzyknęła:

— Taki młody, zdrowy... Zamiast pisać takie wstrętne wiersze, poszedłby lepiej na front! Majakowski odparował:

— Niedawno we Francji, pewien znany pisarz wyraził chęć pójścia na front. Ofiarowano mu złote pióro z życzeniem: „Zostańcie, wasze pióro bardzo potrzebne jest ojczyźnie, niż szpada”.

Ta sama „stylowa niewiasta” krzyknęła z irytacją:

— Wasze pióro nikomu, nikomu nie jest potrzebne!

— Madame, nie mówię o was, wam pióra potrzebne są tylko do kapelusza... („Wspomnienia” T. Tolstoj - Weczerki).

Majakowski był człowiekiem olbrzymiej energii i pracowitości. Nad wierszami pracował co dzień i całymi dniami. Tworzył nie przy biurku, nie w zacisznej pracowni, ale chodząc po ulicach, załatwiając różne sprawy, gotowe wiersze notował w pamięci. Później, przy pierwszej okazji, nawet w drodze czy tramwaju, przelewał je na papier. Pracował nawet... śpiąc. Kiedyś sam opowiedział o takim wypadku: „Zerwałem się na wół przytomny. W ciemności, zweglona zapalka, zapisałem na pergaminie od papierosów... i zasnąłem...”

Pierwsze wydanie poematu „Obłok w spodniach” (1915 r.) zawierało sześć stron sanych

## Franciszek Fenikowski

### Przechadzka po mieście Poznaniu

Na Gołębiej, przy Farze, w słonecznym złotym, wczoraj rano, po latach spotkałem go wreszcie. Stał w cylindrze. Podszedłem: — To pan, panie Motty? A może by tak razem? Przechadzka po mieście?

I poszliśmy. Na Rynek. Tam po mokrym bruku przy kamiennym posągu kwietniowy wiatr chodził. Uśmiechał się do niego święty z Nepomuku, który widział śmierć miasta w ognistej powodzi.

Patrzę królu z Ratusza jak szczytne rosną i kozy znów spór wiodą z dwunastą godziną... Motty wstąpił się w hejnał uskrzydłony wiosną i za nie chce wrócić w czas, który przeminął.

## Faszyzm pod protektorem pani Klary

(Korespondencja z Włoch)

Rzym, w maju

W Parmie odbyła się niedawno premiera nowego filmu włoskiego p. t. „Senso”, którego twórcą jest znany reżyser postępowy, Luchino Visconti. Organizatorzy poprosili dziennikarza Renzo Aristarco o wygłoszenie prelekcji przed seansem filmowym. Renzo Aristarco znany jest ze swych postępowych poglądów, w swoim czasie stał on przed trybunałem wojskowym za to, że zaatakował w prasie dawnych dowódców faszystowskich, biorących udział w wojnie w Grecji. Ani osoba Aristarco ani film nie podobały się policji premiera Scelby. Tuż przed wyznaczoną premierą zabroniono mu wygłoszenia odczytu. Motywując zakaz tym, że ktoś z publiczności mógłby nie mieć ochoty na wysłuchanie prelekcji, skoro przyszedł oglądać

film oraz, że mogłoby go to „znudzić”. Włoska prasa lewicowa słusznie podkreśliła, że policja premiera Scelby mogłaby z tych samych względów zabronić posłom w parlamencie wygłaszania przemówień. Przecież niektórzy słuchacze mogliby się nimi znudzić.

CO WOLNO — A CO SIĘ POPIERA?

Sprawa, o której piszę, jest jedną z ogromnego łańcucha składających się na zjawisko włoskiego nacjonalizmu. Od lat dziewięciu Włochy są republiką i posiadają konstytucję, regulującą życie wewnętrzne kraju. Jeden z artykułów tej konstytucji zawiera gwarancje wolności prasy, stowarzyszeń i wypowiedzania się. Inny — mówi, iż wszelkie usiłowania wskrzeszenia w jakiegokolwiek formie dawnej partii faszystowskiej uważane będą za przestępstwo. Oba te artykuły łamane są jednak stale i systematycznie, właśnie przez te czynniki państwowe, których obowiązkiem jest czuwanie nad przestrzeganiem prawa. Wolność i prawa obywatelskie Włochów naruszane są nieustannie, a rząd usiłuje złamać wszelkie ruchy demokratyczne i lewicowe.

Rząd prowadząc kampanię na rzecz ratyfikacji układów paryskich, nie zapominał umieścić w programie działania również i prowokacji, łączącej się z gwałtowną akcją przeciw ruchowi demokratycznemu. Nasilenie tej akcji zwróciło uwagę nawet zagranicznej prasy burżuazyjnej. „Trzy napady, przeprowadzone w Rzymie ubiegłej środy — pisał korespondent rzymski dziennika „Manchester Guardian” w dniu 12 marca 1955 r. — ujawniły istnienie paramilitarnych organizacji, których pierwsze ukazanie się publicznie miało miejsce na pogrzebie byłego marszałka Graziani. Wczoraj ta sama technika użyta była przez MSI (włoscy neo-faszyści), która napadła na siedzibę Partii Komunistycznej w Rzymie, w dzielnicy Novara.”

„NO ALLA NUOVE WEHRMACHT!”

Manifestacje i strajki protestacyjne na wielką skalę były odpowiedzią szerokich, zorganizowanych mas robotniczych Włoch na bandacką, faszystowską napaść. Opinia publiczna przeraziła się odrodzeniem neofaszystowskich band. Nie łatwo jest jednak organizować protesty wobec wszystkich wystąpień antydemokratycznych rządu i wobec wszystkich wypadków łamania praw konstytucyjnych, których liczba stale rośnie.

Niedawno „Unita” opublikowała w swym wydaniu florenckim — fotografię, ilustrującą epizody walki o pokój na terenie Włoch. Jedną z tych fotografii pokazywała napis na murach miasta: „No alla nuove Wehrmacht!” („Precz z nowym Wehrmachtem!”), oraz napis „Układy paryskie równają się wojnie!”. Na innym zdjęciu w tym samym numerze widać palenie swastyki na ulicach Florencji. Wszystkie te fotografie stanowią zwykłą kronikę życia miasta, w którym rozwija się ogromne ruch zwolenników pokoju. Ale policja florencka dopatrywała się w nich przestępstwa, pociągając do odpowiedzialności kierownictwo pisma pod zarzutem „podburzania do wybrków i ekscesów”.

FLIRT PANA SCELBY

Rząd Scelby usiłuje również zahamować działalność rozmaitych spółdzielni robotniczych i chłopskich, które umożliwiają najbardziej potrzebny dla ludności uniknięcie wyzysku pracodawców. Spółdzielnie te mają duże znaczenie i nie są kontrolowane przez rząd.

Pani Scelba, starając się założyć uczynić zaradcom pani Klary Luce, ambasadora Stanów Zjednoczonych we Włoszech, ma w zanadru wiele jeszcze ograniczeń i wdzideł wolności obywatelskiej, ale waha się z ich wprowadzeniem, widząc bojową postawę włoskich mas ludowych, zdecydowanych bronić swych praw. Pani Luce niecierpliwi się zatem, a ofensywa rządu tymczasem gubi się w gąszczu drobnych tajnych machinacji i prześladowań.

A. BARSILIO

Dokończenie na str. 3





Rozsuwał najbliższych stojących, przepychał się ostrożnie, aby nie zakłócać uroczystości. Tłum na skraju, przepustliwy — ludzie tam stali raczej grupkami i w skupieniu wieszali głowy — teraz zwierzał się, ścisnął, jakby olbrzymie klamry naciskały z boku. Trudno poruszać się w tym stłoczeniu. W uszach szeleściły chrząknięcia i posapywania przygotowujące ciszę. Ktoś odwrócił się wolno, obrzucił ławarz wyjrzała z wysoko postawionego kołnierza.

„Bitte Ruhe, wohin wollen Sie...“

Niski, szeptliwy głos, ale słyszany dobrze. Do niego? — tak, to do niego. Uwaga! Nie prowokować. Raz można, drugi nie wolno. Mamrota przeproszenie, wyciąga szyję, szuka pastora. Ale nim oczy znalazły czarną postać, usłyszał pierwsze słowa przemówienia. Z jego znajomością niemieckiego zrozumie chyba co dziesiąte słowo. I chociaż jeszcze o tym nie wie, luki wypełni wspomnieniem. Broda dotyka fałdy szalika, lewy policzek unosi półuśmiech. Wilgoć szczyptę w podbródek. Znowu sięgnął, jak wtedy. Właśnie tak jak wtedy. Pamięć raz uruchomiona nasuwa film z niedawnej przeszłości. Teraz tylko wygodnie się oprzeć i patrzeć można na ekran własnych wspomnień.

„Tak nie można“ — cichy kobiecy głos. Nic nie widzi, bo szkła zaparowały. Ostrożnie zdejmując okulary, odwraca głowę, uśmiecha się przepraszając. Kobieta też się uśmiecha: ścisk piekielny i jeszcze ten deszcz — nic dziwnego. Rozumie — młode nogi niechętnie do stania. Jest ładna, blade trochę. Na długich rękach osiadły krople rosy i odbitym światłem rozjaśniają tęczę. Zaczyna zresztą parasol. Kątem oka widzi jak oszczędnym ruchem zdejmując pokrowiec, rozpina. — Wziąć by ją tak pod mankiet — co by zrobiła? Lepiej nie, zmoknie się trochę, ale uniknie awantury.

Głos ponad grzybami parasoli zmatowiał, przestępną lekką mgiełką wilgoci. Brzmiał jednak nadal donośnie. Olbrzymia skala, przynajmniej dwie oktawy. W dolnych rejestrach dudni niczym w pustej beczce. Później rozpędzony długimi okresami obcego języka, wybucha w końcu frazy piskliwym krzykiem: „polnische Banditen haben...“ i co tam jeszcze, czego nie jest w stanie pojąć. Zakłada przymglone szkła, które zapomniatł przetrzeć. Mżawka dokucza teraz nie na żarty.

Krople wody płyną wzdłuż nośa, po policzku i znajdują drogę do ust. Dlaczego są słone? Wtedy też czuł ten głupi smak. Pamiętał: wyszli osiemnastu trzyletni. Przed tym zwlekali kilka dni, chociaż rozkaz z okręgu nakazywał: wzmocnić tempo akcji propagandowej. Łatwo mówić. Generalna instrukcja jasno pouczała: „Oszczędzać ludzi i materiały, szczególnie spensetrować teren, przewidzieć każde kontrospensetrowanie wroga, przygotować dokładny plan działania, wybrać najdogodniejszy sposób. Nasza siła leży w zaskoczeniu.“ Wybrali te najdogodniejsze warunki dopiero po trzech dniach. Przynajmniej sądzili, że najdogodniejsze.

Jesień tego roku była wielokopolska — trochę mglista i mało deszczowa. Oparę stały głównie po polach i nad niekami jezior. W samym mieście jedynie poranne dymy miały widoczność. W południe wiatr wymiatał ulice do czysta i wyblakłe słońce załamywało na chodnikach cienie przechodniów. W trzecim dniu pogotowie wpadł zadyszany Ksawer. Stał na palcach, może dlatego, aby nikła postać dostroić do wagi informacji: „Zaraz będzie padać!“ W odpowiedzi rzucił się do okna. Rzeczywiście — dzwoniące krople osiadły już na szybie, ledwie mogli dojrzeć niebo koloru mydlin.

— N-n-no. — Przekąźny z uśmiechem zacierał ręce dla pokrycia wzruszenia — zaczyna się r-r-róbitka. P-p-plan pa... — szczególnie mocno jąkał się w takich momentach.

— Ty, Przekąźny — zadudnił Mietek Cholewa — nie udawaj chojraka. Trza robić, wia-

domo — niedźwiedzia dłoń wyciągnął jakby na niej mieli ujęcie dlaczego wiadomo — ale żeby zaraz śmiech, chichy — nie rozumiem. Łopatką ręki przechyliła się na zewnątrz. Zwisł głowę i ciszej, pewnie do siebie:

— Tamci wszyscy pyskują, że walczą, że Niemcy to wróg, że honor, ojczyzna i inne cuda, a gdy do czego, to figa, bracie, o tyle — wysunął przedzielony kciukiem kula — aby tego brzydszym słowem nie nazwać.

Przekąźny spojrzął na jego chudą postać o szczupłej chłopczej twarzy i czarnych palających oczach. Pomyślał z wdzięcznością, jaki dobry los pozwolił mu związać się trwałym przymierzem z tymi młodymi towarzyszami. Znał obu nie od dzisiaj. Jako trójka PPR-owska zorganizowali parę akcji bezpiecznych przy odrobinie sprytu. Najtrudniejsze



okazało się wymalowanie przed dwoma tygodniami na murach miasta hasła, nawołujących do jednolitego frontu walki z faszyzmem. Nie mieli wtedy ulotek z Manifestem Lipcowym. Dopiero przed trzema dniami dotarli do nich za pośrednictwem okręgu.

Mały Ksawer po wręczeniu pakietu przekazał ustne zlecenie kierownictwa: „Sprawa pilna, nie marudzić, dobrze przygotować teren, bo ostatni wypadek — owe hasła — według meldunków, postawił Niemców na nogi. Pamiętajcie — mówili towarzysze z Łodzi — że po olbrzymich stratach, jakie poniosła nasza partia z rąk okupanta z końcem 1943 i w pierwszej połowie 1944 roku, każdy człowiek ma wagę złota, bo front się zbliża...“

Od kilku dni wrzało w mieście jak w ułu. Okupant miał się na baczności: wzmocnił patrole, legitymował, na ulicach pojawili się faceci w zielonych trytychskich kapelusikach. Połowa z nich, wiadomo, gestapowcy, trochę szablonowo przebrani. Sprawa więc była trudna, wymagała dobrego rozpoznania, umiejętności organizacyjnych, niegłupiego dowódcy. I co najważniejsze — pilna. Na kierownika wybrali Przekąźnego. Przyjął wyróżnienie jako trudny obowiązek, świadczący o zaufaniu przyjaciół. Nie dziko kował, z obawy, że zacznie się jakaś większa niż zwykle. „Wtedy — myślał — autorytet, który posiadać winien dowódca, weźma diabli.“ Nigdy zresztą nie lubił podniosłych scen. Zaczęli rozpoznawanie.

Tymczasem niebieska pogoda kładła się złotymi liśnami po ludnych ulicach, a oni czekali na słońce. Jakże trudno jest kisać w małej izdebce na poddaszu, gdy ziemia pali się pod nogami, a serce podnosi ku policzkom gorącą falę krwi na myśl o zbliżających się chwilach. Po ukończeniu przygotowań, ogłosili pogotowie bojowe i nie wychodzili więcej na powietrze. Obojętnie wiała ta sama zasada, co na przedpolu zasadzki: jeden nieostrożny krok lub zbyt szybkie wyjście z ukrycia, może zalać najlepszy plan. Jakże trudno wypatrywać chmur deszczowych, lub jeszcze lepiej, mgły wieczornej, jeżeli jak na złość za dnia niebo błękitnieje jak polerowana misa, a w nocy, w seledynowej pełni miesiąca, wojenne zaciemnienie jest drwiną z naturalnego porządku rzeczy. Na próżno wyglądali ma-

łym okienkiem pod słońce. Wciąż mizerne, kłaczące obłoczki, kształtu i barwy puchu z kaczego poślada, przyjmowali zdziwionym okrzykiem, jak co najmniej zapowiedź tajfunu. Wiał bez przerwy południowo-wschodni wiatr i niósł przekleństwa pogodę.

Ale teraz już nie mogli się mylić. Krople grubiały na szkło i spływały ku ramie. Zaczęła się jesienna plucha.

Plan p-p-pamiętajcie — podjął Przekąźny. — Był teraz spokojny. Dawna wesołość czaiła się tylko w oczach. — Sprawdźcie broń, bo może pójdzie na mokro. — Lewy policzek powędrował do góry. Półuśmiech. — Przypominam: po dwa magazynki na łebka. Ja będę w osłonie i wezmę jeszcze granaty. Ksawer zabierze ulotki. Mietek butelkę z miodem. I będziecie podsadzać — zwrócił się do Cholewy. — Pójdźcie z Ksawerem, bo on najbardziej „trefny“. Ty — to do Wacka — lewa strona ulicy, piętnaście, dwadzieścia kroków za nami. Pamiętaj abyś się nie zgubił po nocy. Wyruszymy punkt osiemnasta trzydzieści. Są pytania?

Comeniusstrasse jest długa i ludna za dnia, ale teraz deszcz i zmrok spotęgowały wojennym zaciemnieniem, splukał przechodniów. Z zaułka uderza niecierpliwie turkot konnej drożki. Szyja instynktownie chowa się między ramiona. — Tfu! do diabła — przecież nie seria z automatu. To jeszcze nastroja tak fatalnie i ta mgła przenikająca przez wytartą jesionkę. Cyklistówka wciągnięta głęboko chroni przed wilgocią górna część twarzy. Ksawer sięga do ramienia, idzie po lewej. Zaraz skreca na rynek. Tam się zmienia. Prawy kamienie od tej strony dadzą tam schronienie w razie potrzeby. Nie każda — racja. Dwóch trzeba się wystrzegać jak ognia, bo wiedzą na podwórko z niełichwym murkiem bez przejścia — prosto psu w gardło. Rozpoznanie przeprowadzili, wiedzą które.

Mgła gestnieje, staje się lepka. Widać jeszcze na dziesięć, piętnaście kroków. Cholewa powinien się zbliżyć. Nie śmie stracić ich z oczu ani na sekundę. Przekąźny trąca w bok towarzysza. Przystając, odwracając się. Patrzę w skos. Ktoś tam stąpa i dudni. On — nie — on, on — nie — on. Zwalista postać majaczy. Nie wyraża, ale sylwetki tej niesposób pomylić. On! chodźmy. — Obcas stukają pod takt. Chwila Ksawer nie może nadążyć, myli krok. Przekąźny nawet w myśli się nie gniewa, bo po co ten wojskowy dryl. Są spokojnymi cywilami, ustępują z drogi każdemu, kto się nadarzy. A że w kieszeni coś gładkiego przyjemnie ziębi dłoń, poczęła się na chropowatej oprawce, to ich sprawa. Nie, nie ich tylko... a zresztą wszystko jedno. Ważne, że teraz trzeba uważać. Uważać przede wszystkim. Spogląda przez lewe ramię na drobną sylwetkę. Chwila rozróżnienia: „Kochany dogmatyk“ trochę kurdupel, ale chłop obrotny i nie dumny, jakich mało. Właśnie — nie dumny. Sprężystość dowódcy staje na moment od cieplej fali opiekuńczej czułości. Natychmiast Przekąźny tejeże w sobie, gdy mijają przechodniów. Na razie wszystko w porządku.

Już w rynku trzech pijaków, trzymających się za ramiona, zastąpiło drogę. Śpiewali, przekomarzali się, znowu śpiewali. Zrozumiał z tego powtarzane

w stałym refrenie: „Maedchen, Maedchen, komme mit...“ Wyminieli bokiem, ocierając się prawie o ścianę budynku. Za chwilę z czeluści bramy wyskoczył kot, szurnął pod nogami i skracając popędził w dół jezdni.

— Zły omen — jęknął Ksawer.

— Nie kracz — jakeś „dogmatyk“?

Ratusz pozostawili za sobą. Zbliżyli się do Bahnhofstrasse i zwolnili kroku. Napięcie, które całą drogę zwijało dłoń i leżało słodkawym wzruszeniem w okolicy żołądka, teraz wobec perspektywy konkretnego działania, wyparowało. Podobnie chyba czuje się aktor, gdy z mroku kulis wchodzi w światło reflektorów. Przekąźny dawniej porobił także i inne spostrzeżenia. Obserwował u siebie żywość i precyzję postrzegania w momentach ostrego niebezpieczeństwa. Człowiek staje się wówczas po trosze wizjonerem. Wyostrome zmysły odbijają świat bardzo dokładnie, szczegóły i detale, rzeczy pozorne i trzeciorzędne przewyciężają blachę istnienia. Przeciętny śmiertelnik przedzierzga się, czasem tylko jeden jedyny raz w życiu, w wyczulonego artystę. Nie wierzy-cie? Spytajcie zwiadowców, którzy nocą podchodzili pod nieprzyjacielskie punkty ogniowe. Pewnie dlatego tak łatwo rozpoznal Cholewę, jakkolwiek na zdrowy rozum rzecz biorąc, w oparach wilgoci nie widać było nic więcej ponad mglisty i ciemnawy zarys postaci. Patrolu żandarmerii jakimś cudem jeszcze nie napotkali. Deszcz dawno przemienił się w drobniutki ukłucia. Broda i usta mokły od tysięcy igiełek, odzienie stało się ciasne i duszne. Widać było zmniejszającą się jakichś dziesięciu kroków. Cholewa zatrzymał się u wlotu Bahnhofstrasse na rynek. Na drugim rogu, jak umówiono. Przekąźny powiedział:

„Połamanie nóg! Zaczynajcie po sygnale“ i ruszył przez ulicę. Minał Cholewę w połowie szerokości. Otarli się łokciami. Miał szczenięcą ochotę kląpnąć przyjaciela po plecach, ale powstrzymał się. Ostrej tylko na stał przedramię. Tamten potrząsnął, coś mruknął w odpowiedzi, widać gest ten nie wzbudził w nim entuzjazmu, zasapał i przetoczył się obok jak parowóz. Rozpoczęli, gdy Przekąźny wrócił z obok i umówionym znakiem podał hasło:

„W pobliżu nikogo. Do roboty.“ Bahnhofstrasse była jedną z ruchliwszych ulic. Ograniczona ilość bibuły kazała rozkładać ulotki w miejscach, w których najwięcej ludzi mogło się z nimi zapoznać. Długo na poddaszu w izdebce zwanej „kurnikiem“ siedzieli z planem miasta w ręku. Kombinowali, medytowali, pokłócili się nawet. Przystając na teren wabił Cholewę najmniej. Kręcił niedźwiedzią głową, z chłopską ostrożnością mruczał pod nosem, że „to coś nie tak, towarzysze“, ale nie potrafił przeciwstawić żadnych rzeczowych argumentów.

„Ty byś wolał — podskoczył w odpowiedzi Ksawer — powyklejać afiszki pod parapetem

okna. Wtedy nie trzeba by, w ogóle nosa na świat wystawiać. Widać nie pamiętasz, o nie-szczesny — ręce wędrowały teatralnie do góry — że fa-szyszm... I tu już gotowy do wy-wodu o społecznej genezie hitlerizmu umilkł równie gwałtownie jak zaczął pod lekko drwiącym spojrzeniem Przekąźnego.

Przekąźny, najstarszy wśród nich, od trzech lat siedzący w robocie, oblatany w zagadnieniach społecznych nie gorzej od „dogmatyka“, cieszył się w grupie największym autorytetem. Towarzysze z podziemnego kierownictwa partii, ci nie-liczni, których znał mimo trój-kowego systemu konspiracji, nie będą największym autorytetem. Ta wymowa tylko — mart-wił się prywatnie po takich de-batach. Ale rozsadek podpowiadał, że czasy które nastąpią, nie będą czasami pustego gadulstwa. Mimo jakiejś wewnętrznej przekornej wesołości, odziedziczonej po ojcu, koleja-rzu, w L., nieraz zaskakującej przyjaciół, zwłaszcza surowego „dogmatyka“, lubiał i umiał organizować. Wybrali go dowódcą przede wszystkim dlatego, ponieważ wzmocniona czujność Niemców wymagała wypróbo-wanego zmysłu organizacyjnego i doświadczenia.

Zbliżył do oczu nafosforyzowaną tarczę zegarka. Do przy-jścia najbliższego pociągu oso-bowego — równy kwadrans. Powinni się uwinąć. Później z dworca wypłyną ludzie i trudno będzie odejść. Razem dostali ulotek piętnaście, na teraz prze-znaczili pięć. Reszta jako za-bezpieczenie, gdy Niemcy zerwają lub zamalują pierwszą transzę. I później jeszcze pięć. W tym zaniemczonym mieście Polaków pozostało dosyć, szczególnie robotników. O Manifeste Lipco-wym muszą się dowiedzieć. Muszą się dowiedzieć prawdy, bo o fakcie niemieckiego radio tła-brednie od przeszło miesiąca. Zwalista warsztatowcy z pa-rowozowni, kiedyś ojca po fa-chu. Instrukcja Komitetu Okrę-gowego przywieziona przez Ksa-wera wraz z rozkazem akcji kładła silny nacisk na propa-gandę wśród kolejarzy i bry-gad warsztatowych. Istotnie: węzeł kolejowy pompuje siłę we front nad Wisłą. Tędy jesz-cze przed niecałym miesiącem gnały odwoły dla zduszenia powstania. Teraz arteria sunie nieustannie potok stali dla po-krzepienia niemieckiego ducha przed radziecką ofensywą. Ach — kiedyż wreszcie ta ofensywa! Wypatrują jej z gorącym oczekiwaniem i ci tutaj, i tam-ci w lasach. No, dobrze, na ży-czenia czas później. Teraz do-wódco trójki i oddział osłony w jednej osobie — uwaga! Nie traci towarzyszy z pola widze-nia! Śledź równoległy chodnik!

Dostrzega sylwetki. Dobrze rozlepią. Mgła jakby trochę zrzęda. Zwalista Cholewa pod-sadza małego Ksawera bez tru-du. Ze swym wzrostem jest tu-taj niezastąpiony. Chwila ma-nipulacji i jasna plama zostaje na tle tynku. Wysoko, to do-brze. Od razu nie zedną. Ręką nawet najwyższy chłop nie do-sięgnie. Od ziemi trzy i pół me-tra, jak drut. To już druga ulot-ka. Jeszcze trzy. Znowu spraw-dza godzinę: osiem minut do końca. Jeśli tak dalej pójdzie,

zmiestzą się w czasie, jakkol-wiek przy dworcu będzie naj-trudniej. Iskra elektryczna pędzi po kręgosłupie. Bucha w mózgu jasną racą: uwaga! A teraz zupełny spokój. Spokój. Spokój. Kroki od rynku, coraz bliżej. Szybsze od taktu zegar-ka: raz, dwa, raz, dwa... Sekundy pełzną jak larwy. Zda-je się jedna osoba. Ale czemu tak pędzi? Dłoń wilgotnieje. Obej-muje chropowatą rękojeść. Ten uchwyt jest obecnie chłodnawy i bardzo przyjazny. Zaufanie, jakiego człowiek w takich chwi-lach udziela martwemu kawał-kowi stali, stanowi czasem pró-bę rekompensaty za zło wyrzą-dzone komuś żyjącemu. Ode-branie życia, jak wojna, jest zawsze złem, niekiedy sprawi-dliwym. Siódemko tylnego za-bezpieczenia ugniata sprężyste wzgórek dłoni między kciukiem a wskazującym palcem. Gdyby wszystkie narzędzia pracy miały tak wygodne uchwyty, jak dobra broń, o ileż lżejsze byłoby życie...

Takie idiotyczne refleksje nachodzą w chwilach napięcia. Czyżby instynkt dowcipem ra-tował się przed nadciągającą grozą? — Usuwa bezpiecznik: nieduży wysiłek kciuka, trza-sku nie słychać. Był nie za-czępć przy wyciągnięciu szcze-rbiny o brzeg kieszeni.

Odwraca się, wyczekuje za-rysów. Ale diabla tam. Noc jak atrament z mlekiem. Dziesięć, piętnaście kroków widoczności w sam raz na skuteczną strzał z broni krótkiej. Myśli jeszcze: „Tamci chyba słyszeli; żeby lu-dziom na oczach nie wyciągali piramidy“ — i ręka zwalnia uścisk. Ktoś z walizką zaczer-ni i szybko przeszedł obok. Tfu — spóźniony pasażer. Ma jeszcze osiem, nie, pewnie już sześć minut do przyścia pocią-gu. Osobowy — racja! — stoi dłużej. Oddalając się kroki: raz—dwa, raz—dwa. Cichną.

„Pastorski okrzyk po raz wtóry dociera do uszu. Krople z obrzeża parasola sąsiadki spa-dają akurat za kolarz. Od-wraca się znowu. I znowu na łagodnej bladej twarzy trwa uśmiech. Kobieta mówi bardzo cicho, i co ważniejsze po pol-sku: „Niech się pan przysunie, tak mniej pan zmoknie.“

To prawda. Trzeba tylko ostrożnie wymanewrować wśród tej ciżby, nie deptać po nogach. Robi pół kroku w prawo i ćwierć wstecz. Wreszcie ociera się ramieniem o jej zgity łokieć. Jest nawet całkiem przy-jemnie.

„Może pani pozwoli, ja po-trzymam.“ Wyjmuje z jej dłoni w skó-rzanej rękawiczce zgietą bam-busową rączkę. Trochę to wszy-stko wypada nachalnie, ale czort wie co go czeka za bra-mą, trzeba jakoś zabezpieczyć sobie wyjście z cmentarza. Z elegancką kobietą zawsze raż-niej. Niemcy sentymentalni jak salonowe pudle dla par mają wiele pobłażliwości. Krople u-derzają o napięty jedwab: Raz—dwa, raz—dwa. Film wraca...

Na tle oddalających się kro-ków usłyszał: „Heinde hoch!“ Słowa dobiegły jak psi szczek. Ułamek sekundy później smu-ga światła z latarki elektrycznej objęła dwie odsakujące od siebie figurki. „Rozdzielili się. Dobrze wyszkoleni, tak trud-niej dadzą się trafić“. Olbrzy-mi Jacek rzucał cień jak to-pola.

Dokończenie opowiadania  
zamieścimy w następnym  
numerze „Nowego Świata“,  
dnia 7 maja 1955 r.



rys. Feliks Śmielowski



przede wszystkim jedno zdanie: stwierdzenie: z wyjątkiem „Dziennika Poznańskiego” reszta pism pozabawiona była telefonem! Podziwiać przeto trzeba ówczesnych „reporterów miejskich”, mimo to zapewniających pismom bogatą kronikę, w której życie miasta odbijało się jak w zwierciadle. Musieli mieć nogi i serce chyba jak Zatopek...

### Podatki i taksówkarze

Mieszkańców liczyło miasto 135 tys. wobec 117 tys. w r. 1900 i 60 tys. w r. 1875. Wzrost miasta był więc stosunkowo szybki. Jeszcze jednak szybcieli płacić podatki, jakie musieliby płacić mieszkańcy. Podczas kiedy państwu i gminie zapłacili w 1875 r. 1255 tys. marek, w r. 1905 płacili 4.991 tys. marek. Czyli — uwzględniając wzrost liczby mieszkańców — prawie 100 proc. więcej!

Narzekano na „wzrastający ruch w mieście”, chociaż każdy przejazd samochodem był jeszcze „wydarzeniem” nie tylko dla działy. W dodatku 15 listopada ukazały się na mieście pierwsze trzy taksówki samochodowe, podejmując konkurencję z 80 jednokonnymi i 60 dwukonnymi dorożkami „taksometrowymi”. Jedną z taksówek stała na rogu ul. Ratajczaka i pl. Wolności, druga — przed „Bazarem”, a trzecia — na Starym Rynku. — Nasi taksówkarze mają więc powód do obchodzenia jubileuszu.

### Postulaty socjalne

Kin jeszcze nie było, chociaż pierwsze przedstawienie filmowe w świecie odbyło się już przed 10 laty w Paryżu. Latem chodząco przeto na „koncerty ogrodowe” nie było jakich, bo zagranicznych orkiestr. Podczas kiedy np. w ZOO występowała rosyjska kapela Nadiny Sławiańskiej, bardzo się podobała, w ogrodzie lokalu Krenza przy pl. Wolności grała włoska orkiestra „Boccacio”, niemniej — mając powodzenie.

„W dawnych, dobrych czasach” życie nie było jednak łatwe. Nawet mieszczaństwo mówiło o swym położeniu na jednym z wieców: „Położenie polskich kupców, przemysłowców i rzemieślników oraz inteligencji zawodowej polskiej przedstawia się wprost w porównaniu światła”. — O położeniu mas robotniczych świadczy zaś dobitnie liczne właśnie w tym roku w Poznaniu strajki. Krawcy np. mówili: „Stosunki zarobkowe między krawcami są tak nędzne, że trudno uwierzyć... a zwłaszcza w Poznaniu (znajdują się — przyp. red.) pod wszelką krytyką”. U szewców mówiono o „strasznych wyzysku sił roboczych”, a siodlarze domagali się, by ich czas pracy od 6 rano do 7 wieczorem zawierał, prócz przerwy obiadowej, również krótkie przerwy na śniadanie i podwieczorek!

### W Poznaniu tylko się przestraszano

Były i inne utrapienia. Prawie cały rok trwała np. w mieście epidemia tyfusu. Szpitale przepełnione były chorymi, z których zmarło ponad 40 osób. Prawdziwe przerażenie zapanało, kiedy późnym latem we wschodnich prowincjach Niemiec pokazała się „cholera azjatycka”, zawleczona z Rosji. — Stwierdzono oficjalnie 246 wypadków, w czym 85 śmiertelnych. W Poznaniu skończyło się jednak tylko na strachu; w baraku przy cholerycznym na Zawadach umieszczono tylko 3 osoby, które wyleczono.

Na tle naszej współczesnej ciasnoty mieszkaniowej dziwnie brzmi wiadomość, że na 29.852 mieszkańców w Poznaniu 1.395 było wolnych i do wynajęcia, w czym wiele z nich od roku i więcej. Dziwne to zjawisko wyjaśnia się faktem, iż większość wolnych mieszkań znajdowała się na I piętrze. Były to mieszkania wielkie i drogie, o których marzyć nie mógł zarabiający 12 do 18 marek tygodniowo robotnik kwalifikowany.

### Pruskie budownictwo i „konserwatorzy”

W r. 1905 zwalono ostatnie mury fortecy, okalające miasto od zachodu, łącznie z Bramą Berlińską u początku dzisiejszej ulicy Dąbrowskiego. W myśl planów Wilhelma II przypuszczano do nadawania Poznaniowi charakteru „ur-deutsch”, rozpoczynając budowę fundamentów pod zamek cesarski, uniwersytet, operę itd. Część robotników sprowadzono z głębi Niemiec i to ewangelików pod kontrolą pastorów, by „nie pogłębiać agitacji socjalistycznej w Poznaniu”. Miejscewa prasa niemiecka krytykowała ostro zatrudnienie robotników czy furmanów polskich przy tych robotach budowlanych o celach politycznych.

My dyskutujemy zażarcie o możliwe historyczny wygląd Starego Rynku. Przed pół wiekiem czyniono wszystko, aby go zatrzeć. Oto notatka prasowa: „Na Starym Rynku panuje ogromna czynność budowlana. Na przestrzeni pomiędzy ul. Wroniecką a Rynkową rozbierają dwie kamienice, na których miejscu stanie nowoczesny dom towarowy. Po stronie zachodniej zaczęto już rozbierać trzy stare domy. Tak więc nasz Stary Rynek zostaje pozabawiony starożytnego swego wyglądu, nabierając coraz to więcej ustroju nowoczesnego”.

### „Towarzystwo Kołowników”

„Coś o sporcie. Oto okazuje się, że pierwszą w Poznaniu uprawianą dyscypliną sportową było kolarstwo. W r. 1905 „Oddział Kołowników Sokoła” obchodził już 10-lecie istnienia, podczas kiedy na Wildzie w tym roku powstało „Towarzystwo Kołowników”. Organizowano kilkudziesięciokilometrowe wyjazdy w teren, co znów nie było zbyt wielką przyjemnością ów-

czesnymi dość prymitywnymi rowerami. Istniało wreszcie Towarzystwo Wioślarskie, którego członkowie w ciągu roku przebyli ok. 2500 km na wodzie, w czym jeden z nich sam przebył 600 km. O pilce nożnej nie było jeszcze wiele słychać. W każdym razie na szpaltach gazet.

F. M.

## Dlaczego szkoły nie korzystają?

# Wieczór Mickiewiczowskiego słowa

Czytając piękne poezje Adama Mickiewicza zastanawiamy się często nad formą, jaką trzeba nadać słowom narodowego wieszcza, by brzmiały najpiękniej tak, jak je słyszał swoją wyobraźnią poeta. Wielu miłośników Mickiewiczowskiego słowa próbuje deklamować, dla siebie; smakuje muzykę sonetów, ballad, „Pana Tadeusza”. Za każdym razem, sięgając po książkę zawierającą dzieła poety wznoszą się na nowo; odnajdując wiecznie świeże piękno polskiego języka, którym najdoskonalej władał Adam Mickiewicz. Stąd pragnienie nadania wieczorowi charakteru „koncertu” jest intencją słuszną, pożyteczną. Uczy doskonałości brzmienia utworów Adama Mickiewicza.

Pomysł podbarwiania wiersza muzyką, „inscenizowania” go w pewnym sensie — nie jest czymś nowym. Siega tradycji starożytnych. Przecież pierwsze utwory poetyckie recytowano, albo wprost śpiewano przy akompaniamencie prymitywnych jeszcze instrumentów. Dziś używamy bardziej nowoczesnych, a zarazem doskonalszych środków dla wydobycia większej ekspresji słowa. Wystarczy otworzyć radio w niedzielę przed południem i wysłuchać cotygodniowej, ilustrowanej fortepianem lub muzyką symfoniczną audycji poetyckiej. Jeszcze lepiej brzmi sio-

wo, gdy oprócz muzyki towarzyszy mu wizja plastyczna, jak to ma miejsce na wieczorze Estrady Poetyckiej w Teatrze Polskim.

I od tej wizji plastycznej trzeba chyba zacząć. Rozpięte pośrodku sceny białe draperie, niewielkie, ukośne podwyższenie, gra kolorowych świateł — oto cała oprawa, zgodna z tradycjami teatru rapsodycznego, którego celem nie może być „odegranie” poezji, a tylko stworzenie atmosfery i ram dla recytatorów. Jest to niejako wprowadzenie widza w konieczny nastrój, skupienie; zasugerowanie, że nie jest to tylko zwykła, okolicznościowa deklamacja. Scenografia projektowana przez Zbigniewa Bednarowicza dobrze, bo dyskretnie tę funkcję pełniła. Gorzej z drugim czynnikiem — muzyką. Nie ma tu oczywiście mowy o grze na harfie Krysty Zemanowej, która była doskonała. Chodzi o „fortepian”, jak napisano w programie. Piszemy w cudzysłowie, bo w Istocie mieliśmy do czynienia z pianinem i to bardzo lichym; póki akompaniowało, nie wysuwało się na pierwszy plan — pół biedy; gdy zaczęło koncertować samodzielnie, ogarniało nas zażenowanie. Czyżby brak miejsca za sceną był przyczyną, że zrezygnowano z prawdziwego fortepianu? Warto by się pokusić o lepszy instrument, bo od tej strony ramy koncertu pękały.

Lecz to chyba jedyna słaba strona. Reszta montażu i reżyserii Adama Hanuszkiewicza budzi tylko przyjemne refleksje. Koncepcja całego „Koncertu mickiewiczowskiego” poszła w kierunku podziału programu na części stanowiące jakąś powiązaną całość. Jeśli nie treścią — to w każdym razie nastrojem. Nie naciągano przy tym czegoś sztucznie, nie tworono jakichś dziwotwów. Sonety krymskie i zbiór erotyków, to pod tym względem najlepsze zestaw. Wydawało się nawet chwilami, że tylko w takiej kolejności mógł je Mickiewicz tworzyć.



Adam Hanuszkiewicz

Wykonawcy wieczoru — a więc: Br. Frejtażanka, Z. Rysiówna, K. Fabisiak i A. Hanuszkiewicz — podporządkowywali gesty i stroje słowu. Wydobycie jego piękna i melodyjności — było naczelnym zadaniem. I to w pełni zostało osiągnięte. Trochę inaczej potraktowano — zupełnie zresztą słusznie — Wielką Improwizację z III części Dziadów. Z rozmysłem umieszczono ten najbardziej „uszcieniony” fragment — jako końcowy akcent zamykający tak pod względem formalnym, jak i ideowym — wieczór.

Koncert mickiewiczowski jest więc udaną imprezą. Wypada tylko żałować, że — w myśl informacji organizatorów — tak nikt nie zainteresowanie szkół. Dyrektorzy uczelni stopnia licealnego powinni umożliwić młodzieży, szczególnie z wyższych klas, usłyszenie Mickiewiczowskiego słowa w najlepszym wykonaniu, na jakie dzisiaj Poznań stać. Sądźmy, że pożytecznym byłoby wydanie przez Wydział Oświaty WRN odpowiedniego zalecenia. Spełniłoby ono konkretną przysługę młodzieży. J. MIL.

\*) ESTRADA POETYCKA — „Koncert Mickiewiczowski” w Teatrze Polskim; układ i reżyseria — ADAM HANUSZKIEWICZ; scenografia — ZBIGNIEW BEDNAROWICZ; recytacja: BRONISŁAWA FREJTAŻANKA, ZOFIA RYSIÓWNA, KAZIMIERZ FABISIAK i ADAM HANUSZKIEWICZ.

## KULTURA łącząca narody

(Dokończenie ze str. 1)

teatralnej. Na sceny polskie weszły arcydzieła radzieckiej klasyki dramaturgicznej: „Człowiek z karabinem”, „Pociąg pancerny”, „Zagłada eskadry”, „Niezapomniany rok 1919”, „Młodość ojców”. Od wielu lat popularne są na scenach polskich utwory Gribiedowa, Ostrowskiego, Gorkiego.

W Związku Radzieckim dużym zainteresowaniem widzów cieszą się utwory polskich dramaturgów. Powodzenie zdobyły „Niemcy” Kruczkowskiego i „Zwykła sprawa” Tarna. W ubiegłym roku wszedł na scenę moskiewską „Grzech” Żeromskiego. Ostatnia wizyta Teatru Polskiego w Moskwie zainteresowała reżyserów moskiewskich dwoma nowymi spektaklami polskimi: dramatem Kruczkowskiego „Juliusz i Etyla” i komedią Jurandota „Takie czasy”.

Rok ubiegły był również rokiem większego zbliżenia między filmowcami Polski i ZSRR. Wzajemne wizyty filmowców i festiwale filmów w naszych krajach przyczyniają się do zbliżenia również i na tym odcinku.

Oto jest w ogólnych zarysach dorobek dziesięciolecia polsko-radzieckiej współpracy kulturalnej, której podwaliną stał się zawarty 21 kwietnia 1945 roku układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej między ZSRR a Polską. Otwarte skarbcze kultury narodowej Polski i Związku Radzieckiego służą dziś nie tylko swoim narodom, ale również naszym narodom. Narody Polski i Związku Radzieckiego tworzą dziś wspólnym wysiłkiem i wspólną pracą epokę kultury, która je łączy.

Oprac. K. ZAREWICZ

Z. KOCZOROWSKI

## OKIENKO na Zachód

DYREKCJA Narodowej Biblioteki w Kairze zwróciła się do ministerstwa szkolnictwa o przyznanie jej funduszu na utrzymanie 100 kotów. Bibliotekarze bowiem są bezsilni wobec inwazji myszy, które uważają starodruki i papyruse za swój chleb codzienny.

ZARZĄD szpitala w Southampton (Anglia) wywiesił przed wejściem do zakładu syld z następującym ogłoszeniem: „Tu leżą pacjenci, którzy przybyli do szpitala w celu leczenia, a nie dla przyjmowania wizyt krewnych i znajomych”.

DWUNASTOLETNI mieszkaniec Turynu Pietro Marcellini, udając się na pewien film zakazany dla młodzieży, przykleił sobie dla niepoznania wasa. W czasie przerwy otrzymał nagle od swego sąsiada policzek. Gdy się odwrócił ujrzał w sprawcy swego ojca. Film nosił tytuł „Jak wychowywać młodzież”.

WEDŁUG oficjalnych doniesień Międzynarodowej Organizacji Zdrowia, umrzeć można na 999 chorób. Listę owych chorób postanowiono utrzymać w mocy na dalszych 6 lat, gdyż podczas ostatniej sesji w Paryżu nie wykryto żadnej dalszej przypadłości, którą można by dopełnić wspomnianą specyfikację do okrągłej cyfry tysiąca.

PRZED paryską izbą adwokacką stało ostatnio dwóch kandydatów celem złożenia egzaminu na obrońcę sądowego. Jednym z zadań konkursowych było następujące pytanie: „Czy zabicie kątą przez skazanego na śmierć traktować należy jako zabójstwo, czy działanie w obronie własnej?”

NACZELNY pocztmistrz w republice Kuby wydał zarządzenie, według którego wszystkie w przyszłości wydawane znaczki opatrzone będą na odwrocie specjalnym klejem; w skład jego wchodzić będą zapachy mięt, wanilii, pomarańczy, bądź cytryny.

82-LETNIA babcia Marcier przyjechała do Tuluz, aby odwiedzić swą rodzinę. W nocy obudzona została dziwnymi szmerami. Wstała więc i ze świecą w ręku udała się na poszukiwanie sprawcy hałasów. Tymczasem do mieszkania zakradł się złodziej i ujrzawszy zjawę w nocnej koszuli, przeraził się tak niesamowicie, że popadł w omdlenie. Obudził się dopiero w komisariacie.

PO NIENAGANNEJ 10-letniej służbie zwrócił się pewien norweski woźny gminny do swych władz o podniesienie mu poborów. Ponieważ budżet na rok przyszły był już uchwalony, więc radni uchwalili przydzielenie mu tytułem rekompensaty, comiesięcznego przydziału 400 paczek... papieru toaletowego.

GDY CALUJE SIĘ odczuwam ból! — skarżyła się Miss Lilly Green przed sądem londyńskim, do którego złożyła skargę o odszkodowanie cywilne z powodu wypadku samochodowego. Sędzia wydał postanowienie skazujące sprawcę wypadku na zapłacenie 500 funtów.

Z POGODNĄ MINĄ wysiadł z samolotu komunikacyjnego pewien starszy pan na lotnisku w Montevideo. W ręku trzymał pęczek baloników. Wszyscy śmiali się z dziwaka. Wskutek nieuwagi celnik przytknął żarzący się papieros do jednego z baloników. Nastąpił wybuch i na ziemię posypały się kosztowne kamienie, które chytry pasażer zamierzał przeszmuglować.

Zebral: MAK

# Jak Majakowski napisał pierwszy wiersz...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— „Bij białych!”. To jest dzisiaj nasza litera „B”!

Październik 1919 r. to początek pracy w Rosyjskiej Agencji Telegraficznej (ROSTA) nad tekstami i rysunkami dla słynnych „Okiem satyry”.

„Pamiętam — pisał później Majakowski — odpoczynku nie było. Pracowaliśmy w ogromnej, nieopalonej (potem — wyżerająca oczy dymem „burżujka”) pracowni ROSTA. Po powrocie do domu znów rysowałem, a w wypadkach szczególnie nagłych, kładłem, idąc spać, pod głowę zamiast poduszki, polano, licząc, że na polanie zbytnio się nie zaśpi i śpiąc równo tyle, ile jest to konieczne, zerwie się, by znów pracować...

Wymagali od nas szybkości maszyn — bywało, że wiadomość telegraficzna o zwycięstwie na froncie, po 40 minutach, najwyżej — godzinie, wisiła już na ulicy jako barwny plakat.

„Barwny” — to powiedziane zbyt wytwornie, farb prawie nie było, braliśmy jakakolwiek, rozprowadzając ją trochę śliną...”

Majakowski pracował nad tekstami i rysunkami „Okiem satyry” od października 1919 r. do lutego 1922 r. Dokładna ilość wykonanych przez niego prac nie jest znana. Uważa się, że wykonał on teksty do 80% wszystkich wydanych przez ROSTE plakatów (było ich około 1500). Majakowski narysował własnoręcznie około 350-400 plakatów.

— Nie rozumiem waszych wierszy! — krzyknął ktoś zapalczywie w czasie jednej z recytacji.

— No, to trudno — odparł Majakowski. — Wy nie rozumiecie, że to wasze dzieci je rozumieją.

— Nie, moje dzieci również nie będą rozumiały waszych wierszy!

— Ależ, dlaczego — powiedział Majakowski — sądzicie, że wasze dzieci wdadzą się w tatę, a nie w mamę?

Majakowski, opowiadając o swej podróży do Stanów Zjednoczonych, kiedyś powiedział: „... Pletli tam o mnie niewiarygodne bzdury, a gdy spytałem reportera, dlaczego nie napisał jeszcze, że na przykład zamordowałem własną ciotkę,

ten zastanowił się i powiedział: „Rzeczywiście, dlaczego jeszcze o tym nie napisałem?...”

20 października 1925 r. Majakowski po raz drugi wystąpił w Chicago z recytacją swoich wierszy. Sala była przepelniona. Publiczność bardzo serdecznie przyjęła poetę — amerykańscy robotnicy wyculi w nim „swojego człowieka”.

— To jest, bracie, swój chłop! — powiedział po recytacji pewien robotnik do jednego z organizatorów. — Nie darmo tutejsze pany go nienawidzą.

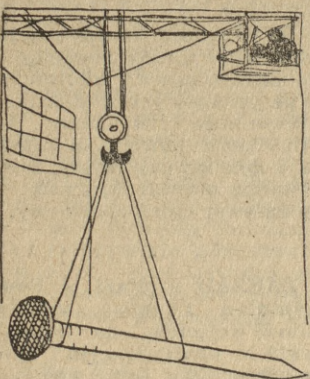
W 1927 r. któryś z młodych słuchaczy Majakowskiego w Niżnim Nowgorodzie, zadał poecie pytanie:

— Dlaczego Włodzimierz Władimirowicz piszecie wciąż o niedostatkach, o brudzie, a nie piszecie o pięknie, o różach?

— Nie mogę nie pisać o brudzie, o ujemnych stronach, bo w życiu jest jeszcze wiele śmieci, pozostałości starego. Pomagam wymiatać to draństwo. Wyprzątniemy je, zakwitną róże, napiszę i o nich...



Dziś na stronie  
satyra radziecka



Rys. Wasiliew  
**PRODUKCJA UBOCZNA**  
— Komu przyda się taki  
gwóźdź??  
— Nam! Z miejsca wykonamy plan...

Mikołaj Moskwini



Balonik nabył spodnie. Jedną nogawka była czarna, druga granatowa. Kiedy przyjaciele śmiali się z niego, odpowiedział:

— Widocznie są trudności materiałowe. Cóż począć...

— Jakie trudności? — pytali przyjaciele. — Czarnego materiału brak?

— Należy sądzić, że brak i czarnego materiału i granatowego. Do czarnej nogawki zabrakło czarnego, do granatowej granatowego. Ale ja nie jestem wymagający. Uniwersytetu ani tych wszystkich konserwatoriów nie kończyłem. I takie spodnie się ponosi...

W stołówce podano Balonikowi herbatę na głębokim talerzu. Podobnie obsłużeni zostali jego przyjaciele. Przyjaciele podnieśli krzyk, wezwali kierownika lokalu. Balonik wypił herbatę z apetytem, prz gryzając kawałek cukru.

— Trzeba zrozumieć sytuację — rzekł awanturnikom. — Zapewne są trudności ze szklankami. Zresztą, nie chodzi o drobniactwa. Najważniejsze, że jest co pić. W końcu tych wszystkich konserwatoriów...

Ale przyjaciele śmiali się z Balonika:

— Skąd się tacy faceci biorą?

Rower, który kupił Balonik, był znakomity. Czysta rozkosz. Niestety, wkrótce w rowerze pękła ośka. W sklepie powiedziano:

— Rower? Prosimy uprzejmie. Rowery mamy w każdej ilości.

— Ale ja potrzebuję ośkę — rzekł Balonik.

— Nie prowadzimy.

Kto inny robiłby kwestię. Zameczał kierownika sklepu, pisał do gazet, naprzykrzał się w ministerstwie. Balonik nie. Balonik wystrugał ośkę z drzewa, zamontował i udał się na przejażdżkę. Na ulicy oglądano się za nim, jako że jechał w niecodziennej pozycji, przytrzymując ośkę ręką.

— Być może istnieją trudności na odcinku osiek — rzekł usprawiedliwiająco. Kiedy spytano go o przyczynę dziwacznej jazdy. — Najważniejsze, że rowerek działa wybornie.

Balonik wyglądał zabawnie, ale tym razem przyjaciele nie śmiali się.

— Patrzcie — powiedział jeden z nich — przecież wszystkie oferty i brakoroby produkujące szklanki, oski i dwukolorowe garnitury trzymają się na takich właśnie balonach!

tlum. A. Potemkowski

# CO SIĘ STAŁO?

Wt. Majakowski



Co to jest,  
ze  
w lilii czystą  
Wysubtelnił się  
Iwanycz?  
Ważniak był,  
że doń nie przystap.  
Nagle —  
przyłóż go  
do rany.  
Siedzi  
kołkiem  
w gabinecie,  
A wy,  
jako że nie wzbrania,  
Wpadać,  
włożyć doń  
możecie  
Ile wlezie —  
bez pukania.  
Pilną pracą  
nieosiąbły  
Tkwi nad biurkiem  
zgięty w pół.  
Opieszalność  
poszła w diabły,  
Boże!  
Orze  
on  
jak wół.  
W lot przejrzałe  
papierzyska  
Tak jak szron  
od słońca  
tają —  
Dawna biurokracja  
pryska,  
Jak zarazę  
stad się  
gna ją.  
Twarz mu  
grą się  
cieni  
mieni...

Pędzel,  
dłuto  
tu potrzebne!  
Słów  
brakuje,  
by ocenić  
Zachowanie  
tak chwalebne.  
Nad swą dziewiczością  
czuwa  
(Koń by uśmieł się,  
o retyle!)  
Przestał palić,  
pić,  
nie spluwa  
I  
nie patrzy na kobiety.  
Co za siła  
to nieznana,  
Co się wbiła  
w Iwanycza?  
Skąd  
w nim  
zaszła ta przemiana,  
Z przeproszeniem,  
tajemnicza?  
Co się stało?  
Czy patriotyzm  
Tak głęboko  
w mózg się  
wgryzł mu,  
Ze wylewa  
siódme poty  
Dla budowy  
socjalizmu?  
Co to jest?  
Pomyślmy, czy nie  
Szkoda słów,  
by rozgryźć  
wszystko...  
Co się stało?  
On jedynie  
Wziął do kupy się  
— przed czystką!  
Przekład J. MINKIEWICZA

Paweł Szamsza

## Skomplikowany problem

Spojrzał naczelnik, krzyknął: „Ach, a to dopiero chryja! Rynna się urwie, no i — trrach! wnet komus leć rozbije!

A więc do dzieła! To nie żart!...  
...Naczelnik, człowiek czynny, natychmiast rozpoczyna start w sprawie deszczowej rynny.

Według wydanej tegoż dnia instrukcji szczegółowej, komisja się wyłonić ma i ścisłe sprawozdanie zdać co rynnę jest deszczowej.

Dni lecą jakby z bicia trzaski — komisja sąd wydała:  
„Ze owszem, rynnę nadgryzł czas, w tym problem i rzecz cała.“  
A potem wymieniony fakt uzasadniono w pliku akt.

I już jak z płatka idzie rzecz: kosztorys szczegółowy z centrali nadesłany spec spisał dla rynny owej.

I znowu miesiąc i dni sześć w głowę zachodzi spec inny — na jakie konto trzeba wnieść remont deszczowej rynny?

Co robić? Kłopot, proszę was, z tą sprawą tak zawiła! Dwóch delegatów jeszcze raz z centrali się zjawilo i sprawozdanie mają zdać w piśmie na cztery strony: czy uszkodzenia rynny znać i jaki przydział gwóźdź dać dla wyżej wymienionej.

Dni szybko płyną, pędzi czas... Mijało lato znojne, gdy jakiś obywatel raz tamtędy siedł spokojnie.

Wtem spostrzegł rynnę. Rzecz: „Ach, na leć spaść może! Myśleć strach!... Wbił w rynnę gwóźdź zaraz przy progu i poszedł swoją drogą...

Tak problem się rozwiązał sam, bezpieczna rynną wreszcie! Gdzie była — pozostanie tam lat sto! A może — dwieście!

tlum. H. Przeździecka

W Niemczech zachodnich wykładowcami w szkołach są oficerowie i podoficerowie b. Wehrmachtu.



Rys. M. Abramow

— Idą nasi wykładowcy ze swoimi pomocami naukowymi!



Rys. J. Czerepanow

— Słuch... nie słuch...

Lazar Łagin

## Biedny Wróbel

Wróbla mianowano Orłem.

I ledwo go mianowano, a już zaczęło skrobać się w głowę.

— Licho wie, co nas skusiło z dawnego Wróbla nagle zrobić Orła?...

Ale już było za późno. Już mu na orlejskiej skale wybudowano gniazdo. Już Kukułka w lot za niego za mąż wyleciała.

Siedzi nasz Wróbel na orlejskiej skale, w orlim gnieździe, strach go zdjął, brak mu wygod. A przeciagi!

Orły nadlatują, machają skrzydłami: że niby — my, wolne ptaszyska, już czas, bracie, czas!

— A dokąd to już czas? — dziwi się Wróbel.

Orły wyjaśniają: że niby tam, gdzie góry, gdzie chmury, gdzie dal.

— Co za pomysły, obywateli?!

Dla Orłów to nie uderzą skrzydłami i szybują, a ile on musi namachać się tymi swoimi skrzydełkami!

Czas mija. Dziwią się Orły:

— Cóż to, bracia? Z tego Orła nie taki znów orzeł!

Był taki, który próbował rozwiązać tę zagadkę. Doszedł do wniosku, że to nie orzeł, tylko embrion. Ze z biegiem czasu mu sowo będzie z niego Orzeł. Czekać miesiąc, pół roku, rok.



np. L. Genf

Klient w pewnym sklepie:

— Chciałbym coś przewieźć...

Sprzedawca: — A pan myśli, że ja nie?...

Wszyscy widzą wreszcie, że z Wróbla jakoś orla nie będzie. Cóż — w dużym gospodarstwie różnie bywa. Nie udało się z jednym, to z drugim się udało.

No, i powinni byli przywrócić Wróbla do dawnego jego wróblego stanu. Nie byłoby pożyteczniejszego ptaszka na świecie.

Ale, gdzie tam, nie wypada; cały rok między Orły był li czony.

Więc dlatego teraz, biedactwo, musi męczyć się. Jako — Dzieciot...

tlum. J. Pomianowski

— Obywateli, proszę nie wychodzić na przernę, przecież nikt z was nie wróci!...



## SMUTNA HISTORIA



— To dobry plakat — powiedział jeden z członków rady artystycznej — ale dlaczego pastuch jest nieogolony? Dowodzi to braku kultury! Ogolić pastucha i usunąć burkę!



— Bardzo dobrze! — wykrzyknął drugi. — Ale dlaczego baran na pierwszym planie? Najważniejszy jest człowiek! Usunąć barany!



— Nadzwyczajny plakat! — zgodził się trzeci. — Ale co to za człowiek? Niezrozumiale. Trzeba z niego zrobić... no, choćby turystę.



Wszyscy (chórem): — Cudowny plakat, ale dla naszego obwodu nie jest turystyka najważniejszym problemem, lecz hodowla zwierząt. Plakatu nie wydrukujemy...

„Krokodil“